ROK VI. Chicago, dnia 1go Listopada, 1888. **No. 44**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble st. Chicago.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Swięty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3go Stycznie R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagoski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 1 listopada.	Wszystkich swiętych.	Warcisław.
Piątek, 2 listopada.	Dzień zaduszny. Tob.	Wytymir.
Sobota, 3 listopada.	Huberta i Malachiasza w.	Chwalisław.
Niedziela, 4 listopada.	24-ta po Sw. Karola Borom.b	Mściwój.
Poniedziałek, 5 listopada.	Feliksa i Aurel.	Sławomir bł.
Wtorek, 6 listopada.	Leonarda op. wyz.	Wszewład.
Sroda, 7 listopada.	Herkulana m.	Zytomir.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA UROCZYSTOŚĆ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH.

Ewangielia S. Mateusza w rozdz. V. od w. 25 do 30.

Onego czasu widząc Jezus rzeszę, wstąpił na górę, a gdy usiadł, przystąpili ku Niemu uczniowie Jego. A otworzywszy usta Swe nauczał ich, mówiąc: Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Błogosławieni cisi, albowiem oni posiędą ziemię. Błogosławieni którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni. Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni. Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią. Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają. Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami Bożymi. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą, i prześladować was będą, i mówić wszystko złe przeciw wam kłamiąc dla Mnie. Radujcie się i weselcie się, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebiosach.

CÓRKA SYBIRSKIEGO WYGNAŃCA.

Powieść z niedalekiej przeszłości.

Dokończenie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Nazajutrz rano zapowiedziały częste armatnie strzały, bicie w bębny i radosne okrzyki uroczystości dnia tego. Marta, przebrana w suknię, którą jej dobra gospodyni pożyczyła, i wsparta na ramieniu Bistuszewa znikła w tłumie, który towarzyszył pochodowi, i udała się do wielkiego kościoła Wniebowstąpienia Matki Boskiej, gdzie się miał odbyć obrząd koronacyi. Obszerną świątynię oświecało więcej niż 1000 płomieni — jej przepych był olśniewający. Na wspaniałym tronie pod baldachinem widać było cara i jego młodą małżonkę w tak przepysznych szatach, iż oboje oczom ludu wydawali się niby istoty wyższe. Klęcząc u stóp małżonka otrzymała monarchini z jego rąk cesarską koronę.

Naprzeciwko nich stał na ambonie Platów, schizmatycki moskiewski patryarcha i począł w wzniosłych słowach przekładać Aleksandrowi obowiązki królów i ciężką odpowiedzialność, jaką Bóg na ich głowy złożył. Wskazał on mu na mnóstwo poddanych, którzy dzisiaj na jego koronacyę przybyli: kamczadale z dalekiego zimnego wschodu, kupcy z Archangielska, których statki po lodowatem morzu pływają, samojedzi od uiścia Jenizaju, gdzie panuje wieczna zima, tatarzy z błogosławionych okolic Astrachanu, gdzie dojrzewają melony i słodkie figi i winogrona, kirgizi i mongołowie z granic Persyi i Chin.

W chwili, kiedy Aleksander wymawiał uroczystą przysięgę, którą się zobowiązał: poświęcić życie szczęściu swego narodu, zdawało się Marcie, że słyszy głos łaskawości, nakazujący skruszyć okowy nieszczęśliwych — i nie mogła się dłużej powstrzymać.

Z nadnaturalną siłą przecisnęła się ona przez gęste tłumy widzów, utorowała sobie drogę przez szeregi żołnierzy, rzuciła się na kolana przed tronem i zawołała: „Łaski, łaski!"

Głos, który przerwał ceremonią, wzbudził niemały nie-

pokój. Wystąpili gwardziści i wywiedli Martę z kościoła mimo próśb i wysileń Iwana Bistuszewa. Car atoli umyślił, iżby w tym pięknym dniu nikt napróżno go nie prosił: wysłał tedy młodego oficera dla dowiedzenia się, czegoby ta młoda niewiasta od niego chciała:

Oficer pobiegł, aby ją do kościoła wpuszczono. Naraz wzdrygnął się i przyspieszył kroki — poznaje on Martę mimo zapadniętych lic i zbiedzonej postaci.

„To ona, to Marta!" woła na głos. Nieszczęśliwej dziewicy trudno uwierzyć w niespodziewane szczęście, uwierzyć, że przybył Smolów dla jej ocalenia. A przecie: to jego głos – patrzał on na nią chwilę, potem wyciągnął ku niej ręce, pospieszył ku niej, ujął ją za rękę i rzekł: „Marto, czy to ty jesteś w istocie: skąd przybywasz aniele z nieba?"

„Przychodzę z Tobolska!"

„Z Tobolska: samiuteńka i pieszo?"

„Tak jest!" odrzekła Marta – „przyszłam tutaj pieszo sama, aby uprosić ułaskawienie dla ojca; a teraz oddalają mię od tronu i od cesarza."

„Pójdź, pójdź Marto!" przerwał młodzieniec z natchnieniem — „ja ciebie carowi przedstawię. Pójdź – poproś jeszcze raz; a on się twemu głosowi nie oprze."

Oddaliwszy żołnierzy poprowadził on Martę do kościoła. W tej chwili pochód cesarski widać było u głównych drzwi — naraz pokazuje się sam car. Smołów toruje sobie drogę, rzuca się z Martą na kolana przed carem i woła: „Najjaśniejszy panie! wysłuchaj mnie, wysłuchaj głosu nieszczęścia, cnoty; wasza cesarska mość widzi przed sobą córkę nieszczęśliwego Stanisława Poniatowskiego. Przychodzi ona z inszyńskiej pustyni, gdzie jej rodzice 12 lat usychają. Przybyła ona tutaj sama, bez cudzej pomocy i odbyła tę daleką podróż pieszo, wzywając miłosierdzia ludzi. Wystawiła się ona na wszelkie przeciwności, burze, niebezpieczeństwa i trudy, aby u stóp waszej cesarskiej mości wybłagać łaskę dla ojca."

Marta podniosła oczy i powtórzyła: „Łaski dla mego ojca!"

Wśród tłumu przytomnych osób dał się słyszeć ogólny szmer podziwienia; a nawet sam car był wzruszony!

„Ojciec twój jest wolny:“ rzekł Aleksander — „użyczam ci jego ułaskawienie.“ Gdy to Marta usłyszała, wpadła w żywy zachwyt, a potem padła zemdlona w objęcia Smołowa. Zaniesiono ją przez tłumy ludu do Bistuszewowego mieszkania. Gdy tutaj później Marta oczy otwarła, nachyliła się do Smołowa i wymówiła cichym głosem imiona ojca i matki. „Zobaczymy ich znowu!“ dodała — „będziemy się cieszyli ich szczęściem.“

Minęło kilka dni, zanim wydany został ukaz ułaskawienia; musiano bowiem przedtem przejrzeć jeszcze raz akta śledcze przeciw Stanisławowi Poniatowskiemu. Pewnego poranka wszedł Smołów do Marty o wiele wcześniej, niż to kiedykolwiek indziej śmiał uczynić, i pokazał jej pismo, a właściwie pergamin z pieczęcią cara. „Tutaj jest rozkaz,“ rzekł — „który w imieniu cara nakazuje memu ojcu uwolnić twojego.“

Dziewica pochwyciła ten dokument, przycisnęła go do ust i zalewała się łzami radości.

„To jeszcze nie wszystko:“ mówił Smołów dalej —„car nasz łaskawy powraca ojcu twemu nadto dostojeństwa, godności i dobra — wszelkie owe odznaczenia, które człowieka nad innymi wyżej stawiają, ale Marty podnieść, wywyższyć nie mogą. Goniec, który ma ten rozkaz do Tobolska zawieść, odjeżdża jutro; otrzymałem od cara pozwolenie towarzyszenia mu.“

„A czy ja nie będę mogła także tam powrócić?“ zapytała Marta żywo.

„Z pewnością, że pani razem pojedziesz!“ — odrzekł Smołów. — „Czyjeż usta, jeśli nie jej mają prawo do oznajmienia ojcu, że jest wolnym? Przeczuwałem życzenie pani i objawiłem je carowi. Car był bardzo wzruszony i kazał mi pani oznajmić, że jutro przyszle pani jeden z swych powozów, nadto daje pani dwie damy dla towarzystwa i sakiewkę z 2000. rubli dla opędzenia kosztów podróży.“

Marta spoglądała na Smołowa i rzekła: „Od chwili,

kiedym pana po raz pierwszy ujrzała, nie przypominam sobie, abym coś dobrego osiągnęła, czegobyś pan nie był sprawcą: bez pana nie byłabym otrzymała ułaskawienia dla ojca; bez pana nie byłby on nigdy oglądał swej ojczyzny. Panu przysługuje oznajmić mu uwolnienie i to będzie jedynem szczęściem, które jest godne pańskich dobrodziejstw!"

„Nie, Marto!" odrzekł młody oficer — „to szczęście jest twoim udziałem; ja sięgam po wyższą nagrodę."

„Po wyższą nagrodę?" — zawołała — „mój Boże, co to być może!"

Smołów już chciał opowiedzieć, naraz jednak zawahał się, spuścił oczy na ziemię, a po długiej chwili odrzekł wzruszonym głosem:

„Powiem to pani w obec jej ojca!"

Od czasu, kiedy Smołów Martę odszukał, nie było dnia, w którymby jej był nie widział, nie spędził w jej towarzystwie kilku godzin; a to wszystko powiększało jego miłość dla niej. Nie zapomniał on przecież nigdy o szacunku, jaki jej był winien.

Zanim Marta Moskwę opuściła, obdarzyła hojnie gospodarzów. Tak samo nie zapomniała ona, kiedy Kazań i Wołgę minęła, o zacnym przewoźniku Mikołaju Kisielowie; dała mu 100 rubli: był bowiem podówczas chorym.

W Sarapulu odwiedziła ona grób misyonarza Pawła i znowu zalała się tutaj jak dawniej łzami; atoli te łzy nie pochodziły z boleści, lecz uczucia wdzięczności.

Nie będziemy obszernie opisywali przybycia Marty do Tobolska, ani radości, jakiej doznawał młody Smołów, kiedy mógł przedstawić ojcu Martę, radości gubernatora, kiedy przeczytał rozkaz cara i wdzięczności cnotliwej dziewczyny względem gubernatora.

Marta dowiedziała się tutaj, że rodzice jej są zdrowi; toż samo powiedziano jej w Saimce. Kiedy się do rodzicielskiej chaty zbliżała, kazała zatrzymać się nieco towarzystwu; tylko Smołowi pozwoliła udać się z sobą. Jakżeż radośnie biło jej serce, kiedy zoczyła brzegi jeziora i poznawała każdą skałę, każde drzewo. Naraz widzi chatę rodziców i zatrzy-

muje się nagle. Wsparta na ramieniu Smołowa zawołała: „Ach, gdybym moję matkę chorą zastała!“

„Nie smuć się Marto!“ odrzekł Smołów — „wszak słyszałaś od ludzi w Saimce, że tak nie jest. Nabierz ducha! Jeśli twe szlachetne serce zniosło tyle nieszczęścia bez narzekania, czyżby nie ono umiało znieść tak czystego szczęścia?“

Marta biegnie aż na próg domu i wzywa imienia rodziców. Drzwi się otwierają — spostrzega ona ojca i matka nadbiega. Marta pada w ich objęcia.

„Oto jest wasza córka!“ zawołał Smołów — „przynosi ona wam ułaskawienie — pokonała wszelkie przeszkody.“

Trudno było opisać radość powitania obopólnego; powiemy więc tylko, że dalszym losem wygnańców sprzyjało niczem nie zamącone szczęście. Stanisław Poniatowski powrócił z żoną i córką do ojczyzny i osiadł w jednej z swych wielkich posiadłości. Jeszcze w chacie na iszyńskiej pustyni zaręczył on Martę z młodym Smołowem; a wesele tej młodej pary było pierwszem ważniejszem zdarzeniem na zamku w Poniatowie, gdzie także i nowożeńcy zamieszkali; gdyż Marta nie mogła się rozstać z rodzicami. Szczęście ich było trwałe, ponieważ było ugruntowane na cnocie i jeśli na kim ziściła się obietnica: „Błogosławieństwo rodziców dzieciom domy buduje!“ to się to z pewnością sprawdziło na Marcie, córce wygnańca!

Zamek Lanckoroński w obwodzie Wadowickim.

(Ciąg dalszy.)

Mikołaj Zebrzydowski na Lackoronie. Na zamku Lanckorońskim mieszkał Mikołaj Zebrzydowski wojewoda krakowski, mąż wielkiego znaczenia w Polsce. Nie będę się rozwodził nad rokoszem, który podniósł przeciw królowi Zygmuntowi III, bo o tem już wiele pisano, tyle tylko nadmienię, że rokosz ten nie był poczyniony dla widoków osobistych, ani w celu uwłoczenia godności królewskiej, a tem mniej obalenia tronu. Mąż ten, aż nadto przywiązany był

do króla i ojczyzny swojej, aby myślał kiedy o obaleniu tronu. Chodziło mu tylko o to, aby króla zaprzysiężonego na pacta conventa, a nie dotrzymującego przysięgi, nakłonić do pełnienia obowiązków.

Wsławił się zaś tenże Zebrzydowski założeniem Kalwaryi, miejsca słynnego z odpustów, dokąd po dziś dzień pielgrzymi z różnych stron, jakoto: z Węgier, Szląska, Morawy i Królestwa Polskiego licznie uczęszczają. Okoliczności, które go spowodowały do założenia Kalwaryi, były następujące:

Siedząc raz pod wieczór przy oknie wraz z żoną swoją, a było to w wielki czwartek r. 1596, spostrzegł przy zachodzącem słońcu na górze „Żarek" (teraz góra Kalwaryjska) trzy jaśniejące krzyże, które z ostatniemi promieniami zachodzącego słońca z oczu mu znikły. Wtedy powziął zamiar Zebrzydowski, na przeciwnej swemu zamkowi górze, na której owe jaśniejące krzyże widział, wystawić świątynię. Już w następnym roku 1597 swój pobożny zamiar uskutecznił, i wystawił na wyż wspomnionej górze kaplicę i trzy czerwone krzyże.

Taki był początek założenia owego świętego miejsca Kalwaryą zwanego. Budowanie kościołów i kaplic trwało dłuższy przeciąg czasu. Wszakże Zebrzydowski jako możny pan, mając wpływy u znakomitych ludzi, i dochody po temu, kilkakrotnie posyłając po plany i rozmiar miejsc świętych do samej Jerozolimy, jakoteż i do stolicy apostolskiej, najwięcej przyczynił się do założenia tego świętego miejsca.

Konfederaci Barscy na zamku Lanckorońskim. Najważniejszą rolę odegrał zamek Lanckoroński za czasów Konfederacyi Barskiej, bo kiedy wszystkie znaczniejsze miasta, grody i zamki, jakoto: Warszawa, Kraków, Poznań, Kalisz, Częstochowa, Tyniec i Bobrek poddały się Moskalom, Konfederaci trzymali się jeszcze w Lanckoronie; nareszcie widząc, że znikąd pomoc nie nadchodzi, złożyli dobrowolnie broń Austryakom. Tu to właściwie nastąpił koniec Polski.

O utarczkach Konfederatów z Moskalami pod Lancko-

roną donosiły już kilkakrotnie różne pisma. Ja tylko to opowiem, com słyszał w młodociannych latach moich z ust naocznych świadków, pomiędzy którymi byli nawet niektórzy w szeregach Konfederatów. Opowiadali oni: że Lanckorona i jej okolice były teatrem krwawych scen, jakie się za czasów panowania króla Stanisława Augusta w Polsce często powtarzały. Moskale bowiem wiedząc, że Lanckorona podówczas była jedną z najsilniejszych twierdz polskich, zwrócili na nią baczne oko, i wszelkich środków używali, by ją zdobyć i Konfederatów ztamtąd wyprzeć. Toż nasyłali w te strony liczne hordy, próbowali ją wziąć szturmem, poświęcając na to masy ludzi, lecz każdą razą przez Konfederatów odparci z wielką stratą cofać się musieli. Bo i jak tu było zdobyć twierdzę na wzniosłej górze położoną, okoloną głębokiemi fosami, wałami, których ślady dotąd jeszcze widzieć można. To choćby się byli na sam szczyt góry wdali, jeszczeby im było trudno wnijść do zamku, bo fosy i szańce wstęp tamowały.

A dostać się na sam szczyt góry było niepodobieństwem, bo góra od wschodniej i północno-zachodniej strony jest tak bystra, iżby się musieli dosłownie jak na dach jakiego domu spinać. Po stronie znowu południowej, gdzie przystęp jest nieco łatwiejszy, Konfederaci samemi kamieniami mogliby ich odeprzeć; więc Moskale pomimo wszelkich natężeń, na zamek dostać się nie mogli, i w nim nigdy nie byli. Lecz za to w okolicy Lanckorony czynili wielkie szkody; to też na poskromienie ich robili Konfederaci ze zamku wycieczki, a często z dobrym skutkiem.

Dotychczas pokazują miejsce w stronie wschodniej, może na 5 tysięcy kroków od miasta odległe, gdzie Moskale mają być pochowani. Na tem miejscu wedle drogi na prawo do Jastrzębi, a tuż ścieszki do Izdebnika prowadzącej, wymurowano niegdyś z cegły i kamienia framugę 10 lub 12 stóp wysoką, w której umieszczono wizerunek Chrystusa Pana z żelaza, a to nazywał lud Bożą męką. Około roku 1830 zniesiono tę „Bożą mękę“ a postawiono kaplicę. Tu tedy według opowiadania dwóch 90letnich staruszków w 1830

r. jeszcze żyjących stoczyli Konfederaci krwawą bitwę z Moskalami, których na głowę pobili, tak iż pole na kilka set kroków trupami było zasłane. Po wygranej udali się Konfederaci następnych dni z całą świtą szlachty i magnatów, między którymi znajdował się Radziwiłł panie kochanku, do klasztoru Kalwaryjskiego, by podziękować Bogu za odniesione zwycięztwo. Tamże po ukończonem nabożeństwie słynny wówczas Marek Karmelita wystąpił na kazalnicę, i w mowie ognistej, wyrzucał ziomkom nadużycia, gromił niektórych magnatów, nie przebaczając i Radziwiłłowi, a przewidując bliski upadek Polski, wzywał Polaków do pokuty.

W północno-wschodniej stronie, kędy droga prowadzi do Izdebnika na ¼ mili od Lanckorony, na lewo jest pochyłe miejsce, które lud nazywa górą szubieniczną. Pochodzi to ztąd, iż tam podczas konfederacyi postawiono straż, która czuwała, aby żadne nieprzyjaźne żywioły do Lanckorony się nie wkradały. Straż ta każdego, kto tylko tą drogą przechodził ku Lanckoronie, zatrzymywała i badała: zkąd? gdzie? i po co idzie? a gdy się biedak nie umiał podług ich sposobu myślenia wytłumaczyć, albo gdy znaleziono u niego jakie listy, lub papiery podejrzane, wtedy bez wszelkiego śledztwa i sądu wieszano go na szubienicy, jak się to zwykle dzieje w czasie zamieszek krajowych.

W południowej stronie blisko na ½ mili od Lanckorony jest znaczny las zwany „Groby“. W tym to lesie, jak mi opowiadał 80letni staruszek, który wówczas liczył 20 lat odbyła się krwawa scena. Było to tak: Konfederaci, czy Lanckorońscy, czy z innych oddziałów, słysząc, że Moskale w tej stronie po swojemu gospodarują, zebrali mały oddział i uderzyli na nich gdzieś około Jastrzębi, nie wiedząc o przeważnej sile nieprzyjaciół. Nie mogąc im podołać cofnęli się doliną ku lasowi, a gdy nawał Moskali na nich nacierał, zmuszeni byli schronić się do lasu; tamże obskoczeni na około, padli wszyscy ofiarą wściekłości Moskali. — Staruszek ten opowiadał, że był naocznym świadkiem tego okropnego dramatu; widział on, jak Moskale pochwyciwszy naczelnika

Konfederatów, pięknego młodzieńca, w oczach jego na pi kach roznieśli. Był to może młody Sapiecha, o którym wspomina Kitowicz w Pamiętnikach swoich, że pod Lanckoroną w potyczce z Moskalami na czele Konfederatów padł okrutną śmiercią. C. d. n.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

W tym czasie powstali sekciarze Donatyści, tak nazwani od swego biskupa Donatusa w Numidyi w Afryce, który stanął na czele partyi niezadowolonej z wyświęcenia na biskupa Caeciliana. Lecz papież Melchiades uznawał Caeciliana jako prawdziwego biskupa i wszyscy inni biskupi po za Afryką uznawali go za takiego. I cesarz Konstantyn taksamo go uznawał za takiego i posłał mu nawet list z wielką sumą pieniędzy, aby je rozdzielił między kapłanów i na wydatki przy utrzymaniu nabożeństwa. W liście tym powiedział także cesarz, iż słyszał, jakoby niektórzy niespokojni ludzie kościół w Afryce podburzali, dla tego polecił prokonsulowi Annulinusowi, aby tę sprawę załatwił i aby się do tegoż Caecilian udał, aby ci ludzie byli ukarani. Teraz Donatyści uczynili to, co później wszyscy kacerze czynili, gdzie tylko mogli, udali się w tej czysto kościelnej sprawie do cesarza wzywając przez to władzę świecką, aby roztrzygnęła rzeczy, które tylko kościół roztrzygać może. Donatyści powinni się więc byli udać wprost do papieża Melchiadesa i jego wyrokowi powinni się byli poddać, ale tego oni nie uczynili, bo chcieli aby cesarz w ich sporach roztrzygał. Dla tego wręczyli prokonsulowi w Afryce dwa pisma z prośbą, aby je posłał do cesarza, co też zostało wykonane. Jedno pismo było pełne oskarżen przeciwko Caecilianowi a w drugiem prosili cesarza, aby wyznaczył biskupów z Gallii na sędziów do roztrzygnięcia, kto ma słuszność, czy oni czy Caecilian. Chociaż cesarz Konstantyn dopiero niedawno poznał naukę Kościoła katolickiego, zaraz poznał o co tu chodzi. Przyjął te dwa pisma, ktore mu Donatyści przysłali niechęt-

nie a chociaż pragnął, aby w Afryce spokój wrócił, jednak nie chciał się mięszać do wewnętrznych spraw Kościoła katolickiego, oddał więc tę sprawę papieżowi Melchiadesowi i trzem biskupom z Galii. Otworzono w pałacu Laterańskim w mieszkaniu papieża 2go października 312 r. sobór pod przewodnictwem Melchiadesa. Było tam trzech biskupów z Gallii: Maternus z Kolonii, Reticius z Autun i Marinus z Arles, prócz tego przybyło tam 15 biskupów włoskich, tak że cały ten sobór składał się z papieża i 19 sędziów. Caecilian jako oskarżony przybył, i przyprowadził ze sobą 10 biskupów, prócz tego przyjechało 10 biskupów Donatystów z Afryki, między nimi Donatus z Casae Nigrae jako oskarżyciel. Sobór miał trzy posiedzenia. W pierwszym dniu Donatus i jego przyjaciele mieli dowieść prawdziwości swych skarg przeciwko Caecilianowi, ale nie mogli niczego dowieść; świadkowie, których Donatus przyprowadził, oświadczyli, iż nic złego o Caecilianie powiedzieć nie mogą i nic złego nie wiedzą a przeciwnie pokazało się, że Donatus przedtem wiele złego narobił. W drugim dniu Donatyści nowe skargi przeciwko Caecilianowi przynieśli, ale i tą razą nie mogli mu nic dowieść. Gdy i w trzecim dniu Donatus nie mógł świadków dostawić, Caecilian przez wszystkich biskupów i przez papieża Melchiadesa został uznany niewinnym. Donatus zaś był ogłoszony winnym i z biskupstwa złożonym. Co do innych biskupów, którzy się do partyi Donatusa przyłączyli, sobór z wielką łagodnością sobie postąpił i postanowił ich pozostawić na stolicach biskupich, ale że tam gdzie w jednem mieście dwóch było biskupów, najpierw konsekrowany miał w mieście pozostać, drugi miał być przesadzonym w inne miejsce. Donatyści sprzeciwiali się jednak temu wyrokowi twierdząc, że ich sprawa nie została dokładnie zbadaną, i że liczba zgromadzonych biskupów była za małą. Rozdwojenie Kościoła w Afryce pozostało więc nadal przez upór tych ludzi i kacerstwo ich się rozszerzalo jeszcze długo, przez co wiele się stało złego. Gniew sekty Donatystów przeciwko papieżowi Melchiadesowi był tak wielki, iż 100 lat później go jeszcze prześladowali twierdząc, iż Melchiades wraz z Marcellinem, Marce-

lem i Sylwestrem wydali poganom pismo św. i że bożkom o fiarę składali. Dowodów jednak tak ciężkiego oskarżenia kil ku papieży Donatyści nigdy nie mogli dać. Ale św. Augustyn broni papieża Melchiadesa i nazywa go wybornym mężem, synem pokoju chrześciańskiego i ojcem ludu chrześciańskiego. Co się dalej stało ze sektą Donatystów, powiemy, gdy mówić będziemy o następnych papieżach. Papież Melchiades wkrótce po tym soborze umarł w pokoju naturalną śmiercią 10 grudnia 313r. ale jednak Kościół czci go jako męczennika dla tego, że wśród prześladowania Kościoła dużo za wiarę wycierpieć musiał. Został pochowanym na cmentarzu św. Kaliksta. C. d. n.

ŚW. JERZY.

Św. Jerzego przedstawiają zwykle jako rycerza na koniu, zabijającego smoka. Mówi legenda, że święty ten smoka, pustoszącego okolicę dzidą swą zabił.

Opowieść ta jednak jest tylko symbolem chrześciańskiej waleczności, zwalczającej grzech i sprawcę grzechu szatana, który w objawieniu się Jana przedstawiony jest w postaci smoka. O ile wiadomo, był św. Jerzy synem znakomitych rodziców w Kapadocyi. W wojsku dosłużył się wysokich godności. W tym czasie cesarz Dyoklecyan prześladował okrutnie chrześcian.

Św. Jerzy gdy widział, że tak straszne prześladowanie na chrześciany powstało, posprzedawał majętność swoję i ubogim rozdał, następnie niewolników swych wolno puścił i inną czeládź odprawił, a trzeciego dnia, którego ona okrutna na chrześciany kaźń uchwaloną być miała, wszedł do onej wielkiej rady z twarzą wesołą i sercem nieustraszonem, wolnym językiem tak do wszystkich mówił: — Czemu cesarzu, i ty zacna rado, i wy rzymianie w innych rzeczach zawdy praw sprawiedliwych przestrzegając, złe a niesprawiedliwe ustawy na chrześcian stanowicie, na ludzi niewinnych i prawdę znających, których chcecie do służby diabelskiej zniewolić? Nie błądźcie — bogowie wasi diabli są: sam jeden

Bóg jest prawdziwy Chrystus Jezus, który z Ojcem i z Duchem Świętym świat stworzywszy sprawuje go i zachowuje. Niechciejcie tak szalonymi być: albo prawdę chwalenia jednego Boga chrześciańskiego poznajcie, albo chwalców jego niewinnych nie prześladujcie. — Temi słowami i oną wolnością jego, wszyscy zdumieli się, na cesarza, co rzecze, oczy obrócili. A cesarz na Magnencyusza konsula albo przedniejszego pana spojrzawszy, kiwnął, aby mu odpowiedział. Przyzwawszy tedy bliżej młodzieńca św. Jerzego, pyta go: Kto cię tak śmiałym uczynił? — Rzecze: — Prawda. — Spyta dalej: — Co to za prawda? — Odpowie Jerzy: — Chrystus, którego wy prześladujecie, a któregom, ja sługą, i tum stanął, abym jego świadkiem był. — Tedy szemranie się wszczęło w radzie onej: jeden to, drugi co innego mówił. Aż cesarz uciszyć się kazał i rzekł Jerzemu: — Jam ciebie dla męstwa i mądrości twojej na wielkie honory wyniósł i miłuję cię jako syna; radzę, nie wdaj młodości twej w niebezpieczeństwo, a ofiaruj bogom, chceszli większe odemnie dostojności odniesć. — A Święty rzekł: — Boże daj to, abyś ty sam cesarzu, prawdziwego Boga poznał, więcejby on tobie dał, niżeli ty mnie obiecujesz i niżeli teraz masz; bo te, co masz, utratne i krótkie są dobra — do onych wiecznych kwap się ze mną — mnie od nich żadna rzecz i żadna twoja srogość nie odstraszy. — A cesarz nie dając mu domówić porwać go i wsadzić do więzienia kazał. Związali go i na wznak na ziemi położyli w ciemnicy, a na piersi jego wielki kamień wwalili.

Nazajutrz przyzwano go do cesarza. Ten widząc go onym kamieniem, zmorzonego, rzekł: — Upamiętałeś się już? — Odpowie Jerzy święty: — Także mię masz za dziecinnego, abym dla tak małej męki Boga mego odstąpić miał; rychlej się ty, męcząc mię, zmęczysz, niżeli ja męczony na złą twoję radę przystanę.

Tedy cesarz nie wiedząc co czynić miał, kazał świętego Jerzego w wapno niegaszone zakopać i przez trzy dni tam trzymać. Szedł Święty, wzywając Imienia Boskiego a mówiąc: Wybaw mię Panie i nie daj mi ustawać, a Imię twoje

podnieś nad niewiernymi, aby nie rzekli: gdzie jest Bóg? i to mówiąc, krzyżem się świętym przeżegnał, a w dół on wapienny wszedł. Zagrzebawszy go głęboko, poszli słudzy. Trzeciego dnia chcąc, aby i kości jego nie zostały, kazał cesarz kości wyrzucić, ale nad spodziewanie znaleźli pod wapnem żywego i zdrowego. Bo stworzenie na wolę Boską umie moc swoję pohamować, a sługom Pana swego, który ich stworzył, przepuścić. Prawie martwi stali słudzy, dziwując się cudom takim; a Dyoklecyan także zdumiały, przyzwawszy znowu Męczennika, rzekł: — Powiedz mi, co za czary masz, iż zginąć i umrzeć nie możesz? — Rzecze Święty. — Czary zowiesz, cesarzu, cuda Boga mego, któremibyś się do pokłonu jego przywodzić miał — biada tobie co cię tak djabeł zaślepił! — A okrutnik kazał na jego nogi buty, w których ostre żelaza były w podeszwach nabite, włożyć; i popychano świętego Jerzego do wieży, aby w nich postępował. Był srodze zraniony Męczennik; wszakże się mężnie bólowi sprzeciwiając, śpiewał do Chrystusa mówiąc (Ps. 16): Dla słów twoich chodzilem twardą drogą. Śmiał się z tego cesarz, gdy go popychano, mówiąc: — Czysty to biegun z niego. — Dzień i noc będąc w owej męce, wywiedziony był na sąd; lecz widząc Dyoklecyan, iż wolno idzie — na nogi nie chromie, a przecie ofiary czynić nie chce, kazal go biczmi i żyłami tak długo bić, aż ciało jego od kości na ziemię odpadało. Święty wesołej swej twarzy nie zmienił, ochotnie wszystkie one morderstwa cierpiał. Patrzył na to cesarz i rzekł: Nie męstwo to jest, ale szczere są czary; na co Magnencyusz: Zawołajmy czarownika, aby mu te czary odjął.

Przyzwano niejakiego w tem rzemiośle sławnego Atanazyusza, do którego rzekł cesarz: — Albo go uskrom, a przywiedź do tego, co ja chcę, albo go zabij, aby żyć dłużej nie mógł. — Obiecał czarnoksiężnik nazajutrz to uczynić. I dał pić św. Jerzemu przed cesarzem pierwszą truciznę, mówiąc: — Wnet się powali i zdechnie — a gdy widział, iż mu nic nie szkodzi, dał wtórą jeszcze jadowitszą i trzecią jeszcze najokrutniejszą. Wszystkie wypił św. Jerzy, a żadnej szko-

dy na zdrowiu nie odniósł. Dziwowali się temu wszyscy i okrutnik: — Powiedz nieszczęsny człowiecze, co za czary tak wielkie masz? A on rzekł: — Moc Boża, cesarzu, która prawdę tę, o którą cierpim, potwierdza i wam ją ukazuje i podaje, to w nas sprawuje; bo tak Chrystus obiecał nam mówiąc: Truciznę pić będziecie, a nie zaszkodzi wam. Jego to Boska siła, którą dał Chrystus ukrzyżowany sługom swoim, aby ślepych oświecać, głuchych i chromych uzdrawiać, a umarłych wskrzesać mogli (Mat. 16).

Zaczem kazał go cesarz nazajutrz do sądu stawić. Tej też nocy ukazał się we śnie Chrystus św. Jerzemu, posilając go, a koronę zapłaty wiecznej obiecując. Nazajutrz wywiedziony przed cesarza, słyszał bardzo pochlebne słowa i piękne, bo mu mówił: — Będę cię miał jako za syna, i wtórym po mnie w państwie będziesz, jeno się bogom moim pokłoń. Św. Jerzy rzekł: — Pójdźmy do świątnicy. — Porwał się cesarz i zwołać wszystko miasto kazał, mniemając, żeby już swoję myśl nad nim przewiódł. Stanął przed bałwanem św. Jerzy i uczyniwszy krzyż, rzekł do bałwana: — Czy bogiem ty jesteś, iż ode mnie ofiary chcesz, czyli nie? — A czart, który w nim mieszkał, powiedział: — Nie jestem żadnym bogiem, sam jeden Bóg jest którego ty opowiadasz. — Rzecze Święty: — A cóż ty przy mnie słudze Boga prawdziwego czynisz? — Skoro to rzekł, z wielkim łoskotem bałwan się obalił i skruszył, i inne wszystkie z nim potłukły się i na ziemię popadały.

Tedy z gniewu kapłani pogańscy rzucili się na Męczennika i wołali: — Zgub, zabij tego czarnoksiężnika. — I był wielki rozruch ludu wszystkiego. O którym Alexandra cesarzowa usłyszawszy, już się wstrzymać nie mogła, ale jawnie się cisnęła przez lud i wołała: — Boże św. Jerzego, wspomóż mię! — I przyszedłszy, padła do nóg jego, Chrystusa wyznawając i wysławiając; na co patrząc ludzie, wiele ich uwierzyło w Jezusa Pana naszego. A gdy ucichł on rozruch, Dyoklecyan bardzy już zdumiały i od siebie odchodzący, zwłaszcza gdy widział miłą małżonkę swoję, Chrystusa wyznawającą, z jadu wielkiego kazał św. Jerzego ściąć, także i

żonę swoją. Gdy ich prowadzono, Alexandra ochotnie idąc na śmierć, a modlitwie się św. Jerzego polecając, uprosiła sobie trochę odpocznienia na drodze i siadłszy na jednem miejscu, modląc się i oddawając ducha Chrystusowi, skonała. — Wielka a mężna niewiasta! — która tak wielkiem państwem gardząc, a wiary lepszego cesarstwa pragnąc, prędko się przy nim została. A św. Jerzy modlitwę uczyniwszy i P. Bogu za uwielbienie Imienia jego przez niego podziękowawszy, chętnie szyję nastawił i koronę wieczną, kończąc męczarstwo swoje, odniósł.

Pewien Irlandczyk nie mógł się nachwalić, jak doskonałe są jego okulary. „Czy widzisz" pytał swego przyjaciela „tam na wierzchołku góry ten mały punkcik. To jest świnia, którą gołem okiem ledwie można dojrzeć; ale gdy włożę okulary, to mogę dokładnie słyszeć, jak ona tam kwiczy."

„*Mój ty klejnocie!*" zawołała matka, ściskając małego synka za to, że coś dobrego zrobił. Nie długo potem spłatał ten sam synek jakąś psotę, a matka za karę wyrzuciła go za drzwi. „Ty nie będziesz nigdy bogatą — zawołał synek, wtykając głowę otwartem oknem, kiedy wyrzucasz takie klejnoty."

„*Nieskończenie* cię żałuję," mówiła przyjaciółka do płaczącej wdowy, towarzysząc jej przy pogrzebie męża. „Straciłaś dobrego męża". Nieutulona w żalu wdowa odpowiedziała wśród łez rzęsistych: „Tak, on był bardzo dobry; a zresztą jest to zawsze nieszczęście, bo człowiek wprawdzie wie co stracił, lecz nie wie nigdy, co dostanie".

Słuszne przyczyny. Pewnego dnia mały chłopczyna przechodził się z swoim nauczycielem ponad Wisłą. Nagle zapytał się chłopczyna:

„Powiedz mi, panie nauczycielu dokąd ta woda płynie?

„Do morza!" —

„Jeżeli tak jest, to czemu morze nie wystąpi nareszcie z swoich brzegów i nie zaleje świata?"

„Zgadnij;" odrzekł nauczyciel.

Chłopiec się zamyślił, potem wykrzyknął uradowany: „Już wiem, bo w morzu jest taka siła gąbki, która wszystką wodę wciąga w siebie."

„A teraz powiedz mi, moje dziecko, czy wiesz dla czego woda morska jest słona?"

„O, to nie trudna zagadka, odrzekł roztropny chłopczyna, a przecież w morzu są śledzie."

„*Już znów leżysz* i nic nie robisz darmozjadzie," odezwał się pewien pan do ogrodnika, przydybawszy go w dzień skwarny leżącego pod krzakiem. „Tyś nie wart, żeby słońce na ciebie świeciło." — „Dla tego też, proszę pana, położyłem się w cieniu," odrzekł tenże.